

“Nie ma większej samotności niż odbicie, które milczy.”



Rozdział II – Planeta Lustra

Przechadzałem się dalej ulicami i mijałem coraz więcej ludzi zamkniętych w swoim rytuale. Siedzieli na progach domów, tuląc lusterka jak święte talizmany. Szeptali do nich pytania i udzielali sobie odpowiedzi, jakby życie rozgrywało się jedynie pomiędzy nimi a szkłem. Dzieci zamiast gonić się w zabawie krążyły wokół własnych odbić – śmiały się do nich, płakały do nich, zasypiały z nimi w ramionach.

Chciałem podejść, zagadać, ale nikt nie podniósł oczu. Każdy tkwił w swojej szklanej klatce.

Usiadłem na kamiennym murze obok grupki najmłodszych. Patrzyłem, jak dziewczynka trzyma w dłoniach małe lusterko i pyta:

— Powiedz, czy jestem ładna?

Jej odbicie milczało, a mimo to ona słyszała odpowiedź. Kiedy cisza nie przyniosła jej ukojenia, rozpłakała się.

Obok chłopiec śmiał się głośno do swojej twarzy. Ale śmiech ten był pusty, bo nie sięgał nikogo. Patrzył tylko na siebie, a mimo to wierzył, że ma to znaczenie.

Wtedy pomyślałem, że człowiek, który widzi jedynie własne odbicie, nigdy nie zauważy dłoni, która czeka obok.

Każdy nosił przy sobie własne lustro. Niewielkie, składane, ukryte w kieszeni albo zawieszone na szyi. Bez niego czuli się nadzy, niekompletni, jakby gubili część własnej tożsamości. Nie potrafili przeżyć nawet chwili, jeśli nie upewnili się, że ich twarz wciąż na nich patrzy.

Obserwowałem ich z daleka. Przypominali więźniów światła, które nie dawało ciepła, a jedynie odbijało ich obraz. Rozmowy były krótkie i pospieszne, bo każde spojrzenie uciekało ku taflom szkła. Nikt nie miał czasu patrzeć na drugiego człowieka.

Na środku największego placu zobaczyłem lustro olbrzymie jak katedra. Jego powierzchnia rozciągała się szeroko jak rzeka, a cisza wokół gęstniała, im bliżej podchodziłem. Zatrzymałem się i spojrzałem w taflę. Spodziewałem się spotkać własne oblicze, ale zobaczyłem tylko mgłę. Pustkę tak gęstą, że aż dławiła oddech.

Przez chwilę sądziłem, że lustro jest pęknięte albo ślepe. Ale mieszkańcy wpatrywali się w nie bez lęku, jakby widzieli coś, czego ja nie mogłem. Dla nich obraz był wyraźny – każdy widział siebie i tylko siebie.

Zrozumiałem wtedy, że to nie lustro kłamie. To oczy nie chcą dostrzec niczego więcej niż własne odbicie.

Na tej planecie wszędzie stały lustra. Jedne były większe od domów, inne mniejsze niż dłonie. Niektóre lśniły jak spokojne jeziora, inne zamglone, matowe, jakby bały się prawdy, którą nosiły w sobie. Rozstawiono je wzdłuż ulic, na placach i w ogrodach, a nawet w najwęższych szczelinach między murami. Nie było tu miejsca, w którym można by schować się przed odbiciem.

Mieszkańcy żyli tak, jakby każdy krok musiał zostać potwierdzony spojrzeniem w szkło. Codziennie stawali naprzeciw tafli, pochylali twarze i szukali w nich pewności, że naprawdę istnieją. Niektórzy godzinami poprawiali włosy, inni gładzili ubrania, lecz większość tylko patrzyła – długo, nieustannie, aż do bólu – jakby odpowiedzi na wszystkie pytania miały znajdować się po tamtej stronie.